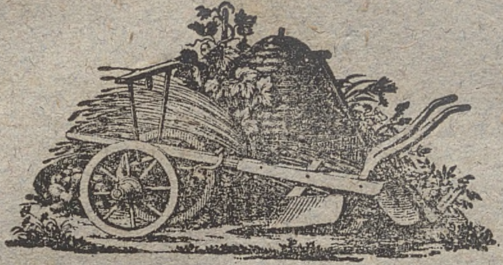
Rok IIIci. **Nr. 40.**

Szkółka niedzielna

Módl się i pracuy, a będziesz szczęśliwym.

Leszno. — *W Niedzielę dwudziestą po Zielonych świątkach*, dnia 6. Paźdz. 1839.



Religia.

Żywot błogosławionego Rafała, Bernardyna, Polaka.

(*Z X. F. Iaroszewicza.*)

Mieysce urodzenia tego męża bożego było miasto Proszowice w woiewództwie krakowskiém. Rodziców mu Pan Bóg naznaczył uczciwych i pobożnych, którzy niepłodnością długo martwieni, ustawicznie i gorąco Pana Boga prosili, aby ich potomstwem pocieszył, co za czasem i otrzymali; albowiem dał im Pan Bóg tego syna, którego na chrzcie świętym Stanisławem nazwali. A iako oni od dziecińśtwa wlewali weń zbawienne nauki, tak i duch boski niewinne iego serce do dobrego sposobił. Przeto od swawoli dziecinnych uchodził, do nabożeństwa był chętliwy, do nauki ochotny. W siódmym roku iuż się uczyć począł i do mszy świętey służyć, i naymilsza mu była ta anielska usługa przy ołtarzu pańskim. Od tego zaraz drobnego wieku szczególne czuł w sobie nabożeństwo do Nayświętszey Maryi Panny i patrona świętego Stanisława, i codziennie się im oddawał. W dziesiątym roku posłany był na wyższe nauki do sławnéy akademii krakowskiéy, w któréy naówczas było wiele bardzo mężów uczonych i wysoce świętych, z których ust brał naukę, a z przykładów pobożnych do świątobliwego życia mocne pobudki. W wyższych umieiętnościach taki postępek uczynił, że został doktorem filozofii, ale nie mnieyszy w cnotach, bo wstydliwość panieńską w sercu i ustach chował, zmysły swoie skromnością krócił, w mowie był przyskąpy, rozważny, w obyczaiach przyiemny, pokorny i spokoyny, zkąd rówiennicy wolnieyszego życia świętoszkiem go przez żart nazywali. Uważaiąc iednak obłudność świata i wielkie na nim, iako na burzliwém morzu niebezpieczeństwa, myślił o tém, aby ich uszedł i przy bezpiecznym porcie stanął. O to długo Pana Boga prosząc, a różnym się zakonom przypatruiąc, poczuł w sercu swoiém chęć wielką do zakonu świętego oyca Franciszka, nie dawno przez świętego Iana Kapistrana do dawnéy kłaby przywiedzionego, to iest: do Bernardynów. Więc się tego zwierzył świątobliwemu kapłanowi Swiętosławowi, który będąc zdawna spowiednikiem iego, znał go wskrós, i nie tylko pochwalił pobożne iego zamysły, ale do wykonania ich przynaglał, mówiąc: „Idź na głos boży Stanisławie, Bóg cię wzywa.“ Wprosił się tedy do zakonu, i na Stradomiu przy Krakowie obleczony, wziął imię **Rafała**. W nowicyacie trafił na magistra wybornego Błogosł. Szymona z Lipnicy, za którego nauką i żywym przykładem idąc, stał się

wzorem pokory, posłuszeństwa i wszelkich cnót. Umartwienia wszelkie nie tylko znosił chętliwie, ale o nie się z innymi ubiegał, nic iednak osobnego bez pozwolenia nie czynił, wiedząc, że w zakonie życie pospolite iest nayświętsze. Po uczynionych Bogu ślubach, za radą wodza swego duchownego przyczynił sobie ostrości życia, aby ciało swoie duchowi mocniéy podbił. Zaczém, oprócz naznaczonych w zakonie bernardyńskim dyscyplin, przeciągléysze czynił. Włosienicą ostrą ciało swoie dręczył, łańcuszkami kolczystemi ie trapił, uymował mu pokarmu i napoiu, niespaniem i pracą umarzał. W rozmyślaniu gorzkiéy męki Iezusowéy mile się zabawiał. Do Matki Nayświętszéy wielkim pałał afektem, oprócz kapłańskich godzin, iéy godzinki, od kościoła opisane, koronkę, według zwyczaiu zakonnego, dzień na dzień w całém życiu zakonném wiernie i nabożnie odprawował, soboty na iéy cześć suszył, a naybardziéy w naśladowaniu cnót iéy bardzo się ćwiczył. Ubóstwo Bogu, według reguły swoiéy poślubione, ze wszelką ścisłością chował, i nikt nie był tak łakomy na złoto, iako Rafał na ubóstwo. Kapłanem z posłuszeństwa zostawszy, iako mąż w piśmie świętém biegły, na kaznodzieyski urząd był naznaczony, który długo sprawował, nie według światowéy udatności, ale według ducha apostolskiego. Grzeszników do odstąpienia od dróg nieprawości, do czynienia surowéy pokuty nawodząc, publiczne występki wolnym ięzykiem, bez brakowania osób, gromił, i przeto wiele ludzi zakamieniałych w złości kruszył i do pobożnego życia pociągnął. Dla wysokiéy roztropności i przykładnego życia w wielkiém był poważaniu u ludzi wielkich, a osobliwie u Zygmunta pierwszego, króla polskiego; więc nie tylko modlitwom iego się polecał, ale o rzeczach do sumienia swego, także i rządu królestwa należących, poufale z błogosławionym Rafałem naradzał się, a przez dobrą chęć, którą miał ku niemu, potrawy ze stołu swego posełał. W zakonie zaś tak był szacowany, że nietylko czyniony był często Przełożonym przednich klasztorów w Krakowie i Wilnie, ale též po trzy razy urząd prowincyalski był na niego włożony, acz się z niego pokornie wymawiał. Na tych urzędach nieodmienna w nim była pokora, cichość, i łaskawość, przez którą bardziéy utrzymywał Braci poddanych w zachowaniu reguły, niż inni przez surowość. Lecz, gdzie zachodziła niektórych krnąbrność, nie zbywało mu na potrzebnéy żarliwości. Kleryk ieden mieyscem się niekontentuiąc, upornie prosił o odmianę, któremu nakoniec obiecał, ale go oraz napominał, aby się spowiadał. Lecz skoro się wyspowiadał, zaraz zachorzał i umarł. Czem inni przestrzeżeni, wolą własną chętniéy poddawali pod posłuszeństwo. Gdy zaś błogosławiony Rafał przyszedł do wielkiéy starości, a po trzeci raz obrany był prowincyałem i przez dwie lecie urząd ten pożytecznie sprawował, stargany pracami i laty, w Kaliszu zaczął chorować, a widząc, że iuż nie ma żadnéy życia nadziei, bracią swoią pożegnał, zalecaiąc im zachowanie ścisłe reguły, miłość wzaiemną, rozpamiętywanie męki Pańskiéy, służbę Panny Przenayświętszéy i kazał się wieść do Warty miasta, w którém iest klasztór bernardyński na wzgórku. Co gdy mu odradzili Bracia, widząc słabość iego, czcigodny starzec żartem ich zbył, mówiąc: „Bo klasztór nasz wartecki bliższy iest nieba i tylko pół mili polskiéy z niego do nieba.“ Przywieziony do Warty, coraz będąc słabszy, mówił z pokory te słowa

do Braci: „Oto ia nędzny, chorobą przyciśniony, inszym drogę doskonałości żarliwie skazowałem, i żeby nią chodzili, wzbudzałem ich; ale innym dobrze radząc, o siebie samego zgoła niedbałem.“ Przyiąwszy potém Sakramenta święte i Bracią pokornie przeprosiwszy, kazał sobie czytać Ewanielią świętego Iana o męce Pańskiéy, któréy słuchaiąc, łzami się zalewaiąc, leciuśieńkiem skonaniem życie śmiertelne zakończył roku Pańskiego 1534, przeżywszy lat ośmdziesiąt wieku swego, a w zakonie więcéy niźli sześćdziesiąt. Pogrzebiony z wielką czcią przed stopniami wielkiego ółtarza z napisem imienia iego w te słowa: „Tu leży mąż wybrany, Rafał z Proszowic, rządca Braci i ozdoba BB. Mnieyszych, którego Bóg ozdobił wielkiemi darami. Tego sławnym i świętym okazuie cudownemi znakami.“ Gdy przez lat sto i siedm rozchodziła się po całéy Polsce wdzięczna wonia świątobliwości i cudów błogosławionego Rafała, Ian Lipski, arcybiskup gnieźnieński, z wielką uroczystością z dawnego grobu podniósł ciało iego, do nowego z marmuru wystawionego, i w nim go złożył; nad nim zaś prawdziwy obraz B. Rafała, który z sobą wywiózł z Rzymu, postawił, roku Pańskiego 1740, dnia 11. Listopada. — Ty tedy błogosławiony Rafale, rodaku i patronie nasz, przyczyń się do Boga za nami!

Gospodarstwo.

O tuczeniu świń żołędzią.

„Moie dzieci,“ rzekł stary Porada, „była i u nas dębina, ale ią wycięli, wyprzedali, a nie zasiali innéy. Nie ieden dawnemi laty gospodarz, bo i ia sam, za mierną opłatą dawał przyszłego tucznika na żołądź przy końcu żniw małych, odbierał go około Wszystkich Świętych, a potém ięczmieniem, żytem lub grochem pasł ku zapustom, a iak zabił, to na rękę słonina, a iaka iędrna, a iaka iuszna, aż się serce śmiało. Dzisiay to wszystko kartofle zastąpić muszą. I na nich wieprz utyie; ale utycie utyciu nie równe! Niech mi tam gada kto iak chce, ia zawsze dawną piosnkę śpiewam: że zboża perka nie zastąpi. Móy nieboszczyk oyciec, Panie, świéć tam nad duszą iego! to prawie samą żołędzią tuczył swoie wieprze, i pamiętam, że były iak cielaki. Po iego śmierci obiąwszy gospodarstwo, tuczyłem i ia żołędzią. Przed kilkunastu laty przecie, gdy u nas klapkarze poobalali dęby, darmo było spuszczać się na żołądź, musiało się ięczmienia i grochu nie żałować, a móy syn teraz to i kartoflami pasie.“ — „I iakeście to, móy krzasny,“ odezwał się ieden z młodych gospodarzy, „tuczyli tą żołędzią?“ „Iak! odpowiedział Porada, potrząsnąwszy głową. Oto widzisz móy chłopcze, nazbierało się nayprzód żołędzi i to doyrzałych tyle, ile było potrzeba, ale w czas pogodny; rozpostarło się pod dachem w mieyscu przewiewném, i co trzy dni się ią mieszało, aby dobrze wyschła, a nie spleśniała. Gdy nadszedł czas tuczenia, to się ią sypało w piec po chlebie i suszyło doskonale, a zaś to się albo na młynie, albo w domu na żarnach śrótowało, i śrót kobiety roztwarzały warem i roztworzony dawały wieprzom. Po czterech, pięciu tygoduiach, to dostawały tuczniki słód, lecz nie z ięczmienia, tylko ze żołędzi.“ — „Słód ze żołędzi?“ zawołał zdziwiony sołtys. — „I czego się tak wasze dziwi, móy panie sołtysie, rzekł z uśmiechem starzec, (bo iuż miał Porada lat przeszło dziewięćdziesiąt) słód ze żołędzi, inaczéy ia powiedzieć nie

umiem. My starzy, to nie na nazwisko, tylko na rzecz uważamy, a iak się dobrze rzecz zrozumie, to i nazwisko iasne. Kiedy się iuż nie źle wieprze podtuczyły, to móy oyciec, a po nim i ia, nasypał w beczkę od kapusty pare wierteli żołędzi, ale przecie nie suszonych w piecu; nalał wodą i wrzucił w to pare garści soli, i tak to mokło kilka godzin. Tymczasem kazał mi w zakątku ogrodu, w iakiém zaciszu, wykopać dół i w ten dół, odcedziwszy wodę z beczki, wysypaliśmy żołądź, urównali, przykryli słomą i na mały łokieć przysypali ziemią. Po trzech dniach odkopała żołądź. Popuszczała ona iuż była kiełki, wybraliśmy ią tedy z dołu i w stodole na boiewicy rozpostarli, aby wyschła. Otóż widzisz sołtysie, taki to był słód ze żołędzi. Kto wie, ieżeli wy młodzi, (dodał Porada, bo go się zawsze żarty trzymały), nie będziecie ieszcze i piwa robić, iak tylko Pan Bóg nową dębinę stworzy, ze żołędnego słodu. Po dwóch dniach, to się iuż tucznikom dawało z tego słodu, z początku tylko po trosze, im daléy, to więcéy, a zawsze musiały mieć świnie pod dostatkiem pomyi do picia, bo żołądź sprawia wielkie pragnienie. Na wieczór każdego dnia sypałem ieszcze wieprzom po pare garsztek ięczmienia, aby im się żołądź nie przyiadła. Tak tucząc rosłe wieprze przez dwanaście tygodni, utuczy się wyśmienicie i to z małym wydatkiem.

O pomnożeniu mleka.

Pewien gospodarz, gdy mu przy dostatku suchéy paszy w zimie krowy coraz gorzéy doić poczynały, rozumiał, że to było przepowiednią iakiéy choroby. W takiéy zostaiąc obawie, przypomniał sobie, że gdzieś czytał sposób pomnożenia mleka u krów; ten był następuiący: Kazał on rznąć grubo siano i koniczynę w równéy ilości i takowéy sieczki nasypawszy w kocioł wielki i nalawszy ią wodą, gotować przez całą godzinę. Po odcedzeniu i przestudzeniu tego odwaru, dawano go krowom, a te chciwie go zpiiały. Późniéy przez całą noc mokła w kotle sieczka i dopiero z rana ią gotowano. Po godzinie, za pomocą małéy siatki, powybierano sieczkę, a odwar ieszcze dwie lub trzy godziny gotować się musiał. Potém wylali go w naczynie drewniannе i studzili do użycia. Krowy przy innéy dostateczném paszy po tym odwarze coraz lepiéy doiły. Mleko i masło było bardzo smaczne i piękne. Wiadomo, że na koprowinie często się trucizna osadza, kazał tedy ów gospodarz po każdém odgotowaniu kocioł dobrze wymyć. Żeby zaś i wśród gotowania paszy na przypadek złemu zaradzić, rzucano więc zawsze w kocioł garść żelaznych gwoździ, albo iaki kawał żelaza.

Są niektórzy lekarze bydła, co odwar takowy, zgęszczony przez gotowanie do gęstości miodu, zalecaią iako lekarstwo, zabezpieczaiące od zatkania się kiszek u rogacizny. Takowego odwaru daie się każdemu bydlęciu codziennie po iednéy łyżce stołowéy. Tego lekarstwa ów gospodarz sam nie doświadczał, powiada iednakże, że może być skuteczne, bo krowy iego po tym odwarze były wesołe i zdrowe.

SZKÓŁKA NIEDZIELNA wychodzi, co tydzień pół arkusza, za umiarkowaną cenę rocznie złp. 4, półrocznie złp. 2. Wszystkie królewskie urzędy pocztowe i księgarnie przyimuią przedpłatę, i dostawiaią Szkółkę co tydzień, bez podwyższenia ceny, Abonentom.

Nakładem i drukiem *Ernesta Günthera* w Lesznie. — (Redaktor: X. *T. Borowicz.*)